

James Christopher Hidden

POLOWANIE NA FRANCISZKA

James Christopher Hidden

POLO —

WANIE

NA FRANCISZKA

KOREKTA

Agata Chadzińska

Anna Kendziak

PROJEKT OKŁADKI

Łukasz Kosek

SKŁAD

Łukasz Sobczyk

ZDJĘCIA NA OKŁADCE

fot. istock.com

ISBN 978-83-7569-612-7

© 2014 Dom Wydawniczy „Rafael”
ul. Dąbrowskiego 16
30-532 Kraków
tel./fax 12 411 14 52
e-mail: rafael@rafael.pl
www.rafael.pl

[Kup książkę](#)

Autor

– Powiedziałem ci tyle, ile mogłem. Więcej informacji, jak zawrzemy układ. – Jimmy przeszywał mnie chłodnym spojrzeniem szaroniebieskich oczu. Mówił twardo i dobitnie. – Jeśli się nie dogadamy, to musisz zapomnieć o tej rozmowie. Ale pozostaną ci miłe wspomnienia z pobytu w Alpach. – W milczeniu przyglądał się mi spod przymrużonych powiek z lekkim, ironicznym uśmiechem.

Odpowiedziałem skupionym spojrzeniem, próbując odczytać z mimiki jego twarzy coś więcej niż było w wypowiedzianych słowach. Silna osobowość Jimmy'ego stanowiła trudną do pokonania przeszkodę. To on kontrolował sytuację. Mimo to chyba podświadomie poczułem, że bardzo chce, abym podjął tę propozycję.

– Daj mi moment, Jimmy. Muszę to przemyśleć na osobności.

Skinął głową. Zauważyłem lekkie drgnięcie jego ust – grymas, za którym kryła się ironia lub

znecierpliwienie. Ja jednak potrzebowałem chwili namysłu bez ciężaru jego spojrzenia. Zarzuciłem kurtkę, ubrałem polarową czapkę i wyszedłem na zewnątrz, popychając ciężkie, drewniane drzwi, które zamknęły się za mną z przeciągłym skrzypnięciem. Wiatr ustał, a na niebie drgały niespokojnie srebrzyste płomyki gwiazd. Deszczowe chmury odpływały na południe. Księżycowa poświata wyłaniała z ciemności panoramę przypudrowanych śniegiem szczytów. W głębokim wdechu wciągnąłem dużą porcję zimnego powietrza. Spojrzałem w górę. Niebo nad moją głową zawirowało od nadmiaru tlenu, który właśnie dotarł do mojego mózgu.

Kiedy wybierałem się do małej Aosty w sercu włoskich Alp, myślałem, że połączę przyjemne z pożytecznym. Nie przypuszczałem, że ten wyjazd tak bardzo zmieni moją codzienność. Od czasu tamtego spotkania częściej oglądam się za siebie na ulicy, a wchodząc do własnego mieszkania, ostrożnie otwieram drzwi. Moja żona Anna beztrząsco twierdzi, że jestem przewrażliwiony, ale przecież nie mogłem jej powiedzieć wszystkiego, co usłyszałem lub co zostało mi przekazane nie wprost. Podjęcie przeze mnie tego wyzwania wynikało zapewne z ciekawości i bałamućącego przeświadczenia, że oto mam szansę opisać niezwykłą, prawdziwą historię, zabłysnąć, dając w dodatku wsparcie głoszonemu przez siebie wartościom. W tym zestawieniu czające się w zakamarkach tej decyzji niebezpieczeństwo bardziej pociągało niż nakazywało ostrożność.

Zaskoczyło mnie to zaproszenie na wieczór autorski w miejscu, o którym do tej pory tylko czasami czytałem lub mijałem z daleka w drodze na wakacyjny wypad do Toskanii czy w zawodowych sprawach do Rzymu. Ciągłe kusiła mnie Aosta, a szczególnie wznoszące się wokół niej szczyty z potężnym Mont Blanc górującym nad doliną. Dlatego kiedy przyszło to zaproszenie na moją oficjalną skrzynkę mailową, po krótkim namyśle dałem pozytywną odpowiedź. Warunki nie były zbyt atrakcyjne: dojazd na swój koszt, żadnych znaczących mediów, ot po prostu kilku czytelników chciało mnie poznać. Za to noclegi w górskim schronisku zapewniał organizator – i to było interesujące. Zapewne gdyby nie chodziło o Aostę, znalazłbym jakąś uprzejmą wymówkę. Ale Mont Blanc w porze rozbudzonej już wiosny, Alpy z tą swoją mieszańką soczystych zapachów wydzielanych przez górszą roślinność i snującymi się tajemniczo mgiełkami są zmysłowo pociągające. Temu nie mogłem się oprzeć. Uzgodniłem mój wyjazd z żoną i dopiąłem szczegółów z organizatorem. Śledziłem prognozy pogody z nadzieją, że nie przesiedzę całego danego mi czasu w schronisku, patrząc przez okno na spływające po szybie krople deszczu czy na możliwy jeszcze w tym czasie gęsto padający mokry śnieg. Annie i dzieciakom obiecałem, że rozeznam sytuację i następnym razem być może pojedziemy tam na rodzinne wakacje.

Miałem za sobą wiele godzin jazdy europejskimi autostradami moim starszym już, ale wygodnym audi A4. Po noclegu w Arnoldstein przy granicy Austrii

i Włoch nie czułem się na tyle zregenerowany, aby nie ulegać znużeniu, które odbierało mi przyjemność oglądania piętrzących się wkoło ośnieżonych szczytów. Kiedy zjeżdżałem z autostrady A5 na Aostę, zobaczyłem wznoszącego się od strony lokalnego lotniska dwusilnikowego piper. Byłem dopiero na początku drogi do wyrobienia licencji pilota i pomyślałem, jak byłoby wspaniale przylecieć tu kiedyś z całą rodziną, oszczędziwszy sobie trudów jazdy samochodem, nie wspominając już o przyjemności pilotowania. W tym rozmarzeniu omal nie przegapiłem skrętu do centrum miasta, które początkowo nie zrobiło na mnie dobrego wrażenia. Proste, piętrowe, współczesne budynki upstrzone na parterze kolorowymi markizami, tak charakterystycznymi dla włoskich klimatów. Trochę to odbiegało od mojego wyobrażenia alpejskiego stylu. Dopiero kiedy dotarłem do starego centrum, miasteczko odsłoniło trochę swego wiekowego wdzięku. GPS zaprowadził mnie pod starorzyski łuk triumfalny wznoszący się na zielonym owalnym skwerku na Piazza Arco d'Augusto. Zaparkowałem na pobliskim parkingu osłoniętym przez ubrane w soczystą, wiosenną zieleń stare drzewa akacjowe. Wyciągnąłem plecak, podręczną torbę i, korzystając z wydrukowanej mapy, spozycjonowałem się w poszukiwaniu zamkniętej dla ruchu Via Sant'Anselmo oraz numeru 9, pod którym miałem się spotkać z organizatorem. Zanim ruszyłem w wyznaczonym kierunku, spojrzałem z zaciekawieniem na łuk triumfalny Augusta spięty od wewnątrz stalowym krzyżem łączącym symbolicznie w tym małym fragmencie rzymskiej architektury dwie

ery dziejów ludzkości. Piętrzący się na prawo górski masyw opatulały nisko wiszące szaro-białe chmury, z których po chwili zaczęły opadać drobne, lodowate kropelki deszczu. To była zła wróżba, ale pozostawiłem sobie nadzieję, że pogoda się jednak poprawi i zastосуje do prognoz, które studiowałem przed wyjazdem. Ruszyłem szybkim krokiem w Via Sant'Anselmo, małej uliczki biegnącej pomiędzy starymi, dwu- i trzypiętrowymi kamienicami, której uroku dodawały liczne donice z bujną zielenią ustawione w długim szeregu wzdłuż elewacji.

Po krótkiej chwili byłem już na miejscu. Przez oszklone drzwi zobaczyłem oświetlone licznymi stylowymi lampkami proste wnętrze klasycznej trattorii. Przecisnąłem się z bagażem przez wejście, wyglądając gospodarza.

– *Buonasera!* – pozdrowiłem dwóch rozmawiających ze sobą mężczyzn stojących w półmroku przy barowym blacie.

Odpowiedzieli pozdrowieniem prawie równocześnie, mierząc mnie pogodnym i zaintrygowanym spojrzeniem. Kiedy zbliżyłem się do nich na tyle, by być dobrze widocznym, ten stojący bliżej, w ciemnopopielatym garniturze i koloratce, rozpoznał mnie i wyciągnął dłoń na powitanie. Drugi, w białej koszuli, stojąc po drugiej stronie barowego blatu, uczynił to samo.

– Dojechał pan nawet przed czasem – stwierdził staranną angielszczyzną ksiądz. Miał około pięćdziesięciu lat i krótko przystrzyżone, szpakowate włosy. – To ja pana zaprosiłem – dodał. – Będę także tłumaczyć, tak jak się umawialiśmy.

– Bardzo się cieszę! Po włosku znam kilka podstawowych zwrotów, pomimo tego, że bywam w tym kraju przynajmniej raz w roku. Wstyd się przyznać.

– A to Giuseppe, właściciel lokalu, w którym zaplanowaliśmy nasze spotkanie. On też przeczytał pana książkę, oczywiście po włosku – dodał z uśmiechem, wskazując na przystojnego czterdziestolatka stojącego za barem. – Zatem zapraszamy na spóźniony obiad. Musi się pan wzmocnić i trochę odpocząć przy lampce wina – ksiądz przejął rolę gospodarza, a Giuseppe wskazał mi stolik przy oknie.

Spotkanie autorskie odbyło się w blasku lampek oliwnych oraz świec w sympatycznej atmosferze, chociaż miałem wrażenie, że uczestniczą w nim głównie członkowie rady parafialnej i najbardziej zaangażowani wierni księdza Alessandra. Moją uwagę zwrócił siedzący w mrocznym kącie mężczyzna ubrany jak przeciętny turysta: koszula flanelowa w niebiesko-brązową kratkę i ciemnobrązowe sztruksowe spodnie. Patrzył na mnie uważnie, przysłuchując się toczoną dyskusji. Sam nie wypowiedział ani słowa. Popijał kawę małymi łykami smakosza, zachowując dystans obserwatora. W pewnym momencie przyglądałem się bliżej jego twarzy, gdy oświetliły ją reflektory parkującego za oknem samochodu. Wydała mi się znajoma, jednak nie potrafiłem jej przyporządkować do konkretnej osoby i zlokalizować na osi czasu mojej pamięci.

Podpisałem już wszystkie podsunięte egzemplarze książek. Właśnie lokal opuszczali ostatni czytelnicy,

kiedy stanął przy mnie gospodarz spotkania i ów tajemniczy mężczyzna w kraciatej koszuli.

– A oto Jimmy. Jest jednym z inspiratorów naszego spotkania i to on będzie pana gościł w swoim uroczym schronisku.

– Bardzo mi miło! – podałem rękę przedstawionemu mi mężczyźnie. – Wydaje mi się, że gdzieś już się spotkaliśmy – dodałem, zastanawiając się nad dziwnym imieniem właściciela włoskiego schroniska.

– Bardzo możliwe – odpowiedział bez emocji, jakby moje wrażenie wcale go nie zdziwiło. Uścisk jego dłoni był mocny i zdecydowany. – Na kolację zapraszam już do mnie – poinformował mnie, wskazując zamasyście drzwi wyjściowe.

– Ja się już pożegnam. Jeszcze raz bardzo dziękuję, że pan przyjechał. Mam nadzieję, że uda się spędzić miło czas w górach i wynagrodzi to wszelkie trudy podróży.

– Ja także bardzo dziękuję. To piękne miejsce. Już od pewnego czasu chciałem tu przyjechać. Może następnym razem pojawię się z całą rodziną.

– Jeśli się państwo wybieriecie w te strony, to zapraszamy serdecznie do nas. Proszę wcześniej napisać lub zadzwonić. Chętnie pana ugościmy ponownie.

Jimmy czekał cierpliwie, aż skończymy tę kurtuazyjną wymianę zdań.

– Proszę wziąć wszystkie rzeczy. Pojedziemy moim samochodem. Pana auto będzie tu bezpieczne. Giuseppe się o niego zatroszczy.

Właściciel lokalu, żegnając się, potwierdził jego zapewnienia.

Jimmy, Giuseppe, Alessandro – dziwne zestawienie. Jimmy w małym włoskim, alpejskim miasteczku.

– Zapewne nie jest także stąd, być może nawet nie jest Włochem – pomyślałem, zbierając swoje bagaże.

Padał drobny deszcz, kiedy wspinaliśmy się terenowym, starszym już czerwonym nissanem po stromej górskiej drodze, kołysząc się na wszystkie strony na kamienistych nierównościach. Po bocznej szybie spływały drżące krople. Było ciemno, żadnych górskich widoków za oknem. Moja a-czwórka miałyby na tej drodze poważne problemy – to oczywiste.

Jimmy milczał tajemniczo, zostawiając sobie widać rozmowę na deser, a ja, trzymając się kurczowo za uchwyt nad drzwiami, próbowałem uniknąć zbyt gwałtownego przerzucania mnie we wnętrzu kabiny. Odetchnąłem z ulgą, kiedy dotarliśmy na miejsce. W ciemności dostrzegłem nieoświetlone zarysy niskich zabudowań wzniesionego z kamienia alpejskiego schroniska.

Prostą kolację, którą osobiście przygotował gospodarz, zjedliśmy we dwóch przy obszernym, solidnym drewnianym stole. Gruby blat żłobiły zarysy słoików oraz drobnych pęknięć gładko zeszlifowane w trakcie wieloletniego użytkowania. Twarde górskie sery i sałatka z zapiekany w ziołowo-winnej zalewie kurczakiem miała oryginalny smak. Jimmy napełnił do połowy nasze szklanki białym, regionalnym winem, które było dosyć mocne.

– Jak pan zauważył, gdzieś się już spotkaliśmy
– rozpoczął rozmowę, kiedy skończyliśmy główną część kolacji, a na środku stołu pozostała kształtna, pusta butelka bez etykiety, kamienny czajnik z zieloną herbatą i duży drewniany talerz z małymi kawałkami ciemnego sera.

– Tak przypuszczam, ale trudno mi to zlokalizować czasowo i przestrzennie – stwierdziłem, z zaciekawieniem wpatrując się w pokerową twarz gospodarza, który podniósł wzrok i spojrzał mi wyczekująco w oczy, jakby chciał powiedzieć: „No, przypomnij sobie, nic nie pamiętasz?”

– Czy pozwoli pan, że będziemy się zwracać do siebie bardziej bezpośrednio, biorąc pod uwagę miejsce i okoliczności?

– Czemu nie. Mów mi Christopher – odpowiedziałem z uśmiechem, mając niemiłe przeświadczenie, że może byłem zbyt beztroski w zestawieniu z opanowaną i pozbawioną emocji postawą gospodarza.

– Nie poznaliśmy się bliżej. Zaledwie kilka razy zamieniliśmy parę słów, a przynajmniej tak to może wyglądać z twojej strony – zaczął naprowadzanie Jimmy. – Moja wiedza o tobie jest znacznie szersza niż twoja o mnie. – Zamilkł i spuścił wzrok, wpatrując się w sam środek swojego kubka, z którego unosiły się ledwo dostrzegalne obłoczki parującej herbaty.

Zaintrygowało mnie i zaniepokoiło to, co powiedział. Dotarło do mnie, że mnie obserwował, że wie o mnie dużo, a ja o nim nic.

– Spotkaliśmy się na studiach we Francji, Lille, lata osiemdziesiąte – kontynuował. – Ty studiowałeś literaturę, ja nauki polityczne, ale pewne kręgi znajomych mieliśmy wspólne.

Tego czasu, mimo całego bogactwa doświadczeń i pozyskanej wiedzy, nie wspominałem dobrze. Pozostały mi z tego okresu pewne uprzedzenia do Francji i Francuzów.

– Zanim powiem ci więcej, będę miał gorącą prośbę – spojrzał mi w oczy wyczekująco i stanowczo.

– Słucham cię, Jimmy. Mów – odpowiedziałem z rosnącym niepokojem.

– Proszę cię o zachowanie dyskrecji, całkowitej tajemnicy w zakresie, o który cię poproszę.

Zawahałem się na moment.

– Ale jeśli to niezgodne z prawem... – wypaliłem trochę zaskakująco nawet dla samego siebie, jakbym miał zostać nagle wtajemniczony w jakieś nieczne konspiracyjne, chociaż w zasadzie nie miałem ku temu żadnych podstaw.

– Nie, nie o takie sprawy chodzi, choć może będziesz musiał się ogólnie obowiązującemu prawu w jakimś zakresie oprzeć – stwierdził z trochę ironicznym przekąsem. – Jeśli masz takie obawy, nie będę nalegał. Możesz powiedzieć stop, pasuję. Twój wybór. Najpierw jednak może powinieneś się zorientować, o co chodzi. Mogę dodać, że samo zachowanie tajemnicy będzie zgodne z prawem.

– Dobrze, Jimmy. Daję ci słowo, jeśli to ci wystarczy, że wszystko zostanie między nami.

– To mi wystarczy. – Jimmy sięgnął po kamienny czajniczek z herbatą i napełnił swój kubek. – Widzisz, wracając do naszych studiów, ja, oprócz uczęszczania na zajęcia, miałem inne ważne zadania. Tutaj właśnie tkwi ta tajemnica, która wymaga poufności. Moim zadaniem było monitorowanie określonych osób i pewnego lewackiego środowiska, które, słusznie zresztą, uważane było za zagrożenie, chociaż teraz wielu tych ludzi jest niestety bardzo wpływowych i bardzo blisko władzy, ale teraz nikogo to już nie interesuje lub według niektórych nie powinno interesować. Ty byłeś po drugiej, że tak powiem prawej stronie, dlatego nie zbliżałem się do ciebie zbyt, nie interesowałem mnie jako obiekt do rozpracowania. Jednak często pojawiałeś się jako temat rozmów osób, z którymi miałem bliższe kontakty. Nazywali cię kaznodzieją i katolickim zatwardziałym prawiczką. Wiem, że nawet na zajęciach z psychologii mówiłeś o swoich seksualnych zasadach sprzecznych z manifestem pokolenia '68. Dziewczyny szeptały między sobą, że jesteś gejem, a homo twierdzili, że wstrętnym katolickim krzyżowcem. Wielu cię szczerze nienawidziło. Wiem, że parę razy próbowali cię podpuścić, ale chyba udało ci się jakoś z tego wyjść z godnością, chociaż twoje ego pewnie oberwało.

– Tak, wiem. Te chwile dobrze pamiętam. Dlatego po roku studiów wróciłem do siebie, na swoje, że tak powiem, staroświeckie zadupie Europy.

– Trochę szkoda, że się poddałeś. Zacząłeś mi już trochę imponować, chociaż nie podzielałem twoich

zasad i moralizatorskiej naiwności. Myślałem o tobie jak oni: z kpina i dystansem. Niby byłeś zupełnie nie z mojej bajki, ale, jak widzisz, zapamiętałem cię dobrze, więc jednak może było warto być takim odmieniecem. Szkoda, że tak szybko wyjechałeś – zamyślił się na moment. – Zresztą nie ma co gdybać.

– Widocznie byłem naiwnym prawiczkim w znacznie szerszym zakresie.

– Zapamiętałem sobie ciebie zawodowo i prywatnie – nie podjął mojej refleksji, ale w skupieniu mówił dalej. – Kiedy tak wiele się zmieniło w moim życiu, jak to często bywa, przez przypadek natknąłem się na twoją książkę, zacząłem się interesować tym, co robisz teraz, jaki jesteś, co zrobiłeś ze swoimi młodzieńcymi zasadami. To było dla mnie ważne. Dowiedziałem się, że jednak ciągle potrafisz odmawiać, kiedy to nie pasuje do twoich staroświeckich zasad.

– To nic takiego, jeśli mówimy o tym samym fakcie, i nie takie czyste, i nie takie oczywiste. Potrzebowałem bardzo pieniędzy. Trójka dzieci, choroby, problemy. To moje „nie” było jak akt rozpacz, bez przekonania. Przyznam, że potem nawet trochę żałowałem. Mogłem sobie przecież wmówić, że współpraca z tym czasopismem nie byłaby taka naganna, że jakoś mógłbym przemycić to, co dla mnie ważne. Teraz wiem, że zrobiłem dobrze, ale zdaję sobie też sprawę z tego, że niewiele brakowało, a powiedziałbym „tak”. Przekonałem się dobitnie, że łakomiąc się na pieniądze czy jakieś intrykatne układy, traciłem więcej niż zyskiwałem, najwięcej zyskiwali ONI. Takie decyzje to powinna być zimna

kalkulacja szacująca utrzymanie własnej tożsamości z przewidywaniem przyszłości. To nie kwestia emocji. A ja jednak nie zawsze mówiłem „nie”. Niestety.

– Tak, wiem, wiem. Ale zostałeś w dużej mierze tym, kim byłeś wtedy, kiedy cię nienawidziłyśmy. I to jest powód, dla którego cię tu poniekąd podstępnie ściągnąłem.

– Czyli ten wieczór autorski, to wszystko, to tylko przykrywka?

– Trochę tak, trochę nie – uśmiechnął się, przymykając porozumiewawczo jedno oko.

– Ale dalej nie rozumiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Zaraz, zaraz, zwolnijmy trochę. – Jimmy wziął głęboki oddech. – Jesteś pisarzem. Twoje zasady są mi obecnie bliskie i uważam, bazując na swoim doświadczeniu w analizie ludzkiej natury, że mógłbym ci zaufać. Chciałbym, żebyśmy razem spisali pewną historię. Ja zadbam o to, aby znalazły się w niej tak opisane fakty i wydarzenia, by nie złamać wciąż obowiązującej mnie tajemnicy i prawa. To mój problem. Jednak istnieje w tym pewna dawka ryzyka dla mnie, ale i dla ciebie oraz twoich bliskich. Bo osoby, które wystąpią w tej opowieści, choć ich dane zostaną zmienione na tyle, na ile to tylko możliwe, z pewnością się rozpoznają. Będą wiedzieć, że ja wiem, ale też będą mieć świadomość, że i ty wiesz dosyć dużo. Wiele razy byłem świadkiem i sam doświadczyłem ich bezwzględności.

– Czy ta historii warta jest tego ryzyka, Jimmy?

– Jestem przekonany, że tak. Zresztą jeśli idzie o ciebie, to w momencie, w którym to opublikujesz,

nie będą mieli pretekstu, żeby zamknąć ci usta, bo będzie już za późno. Oni są wyrachowani, zatem rzadko sięgają po zemstę dla samej zemsty; to musi być uzasadnione. Pewnie takie było też i w moim przypadku. Co się miało stać, już się stało. Teraz nie mam wiele do stracenia. Kiedy się dogadamy, powiem ci więcej. Zawsze będziesz mógł jeszcze stwierdzić: „Nie napiszę tego, nie opublikuję”, nawet jeśli dojdiesz do takiego wniosku na samym końcu naszej współpracy. Mam świadomość, że i tak może być. Ale teraz potrzebuję twojej decyzji.

– Możesz mi powiedzieć coś więcej?

– Powiedziałem ci tyle, ile mogłem. Więcej informacji, jak zawrzemy układ.

Kiedy wróciłem do stołu, zastałem Jimmy'ego tak, jak go zostawiłem. Jakby zmarł w bezruchu po moim wyjściu na zewnątrz.

– Przemyślałem to na tyle, na ile byłem w stanie w tym krótkim czasie. Zgoda. Zaryzykuję. Los potoczył się tak, że chyba nie powinienem odmawiać, prawda? – stwierdziłem, patrząc wyczekująco na gospodarza schroniska.

– Mam taką nadzieję. Ja zrobię wszystko, abyś był bezpieczny. Dziękuję, Chris. – Te ostatnie słowa wypowiedział cicho, jakby pokornie. Gdzieś odleciała ta jego dominująca siła.

– Zanim zaczniemy, mam jedno, może głupie jak na początek pytanie: pod jakim nazwiskiem mielibyśmy wydać taką książkę?

– Autor ma być jeden. Jeden autor, jeden pseudonim. James Christopher Hidden. Co o tym sądzisz?

– Siła i energia wróciła w jego głosie i spojrzeniu.

– Chyba już postanowiłeś, wypada mi się więc tylko zgodzić – stwierdziłem ironicznie trochę zawiedziony, że nie zostało miejsca na moją twórczą inwencję.

– Nie, nie postanowiłem. Możesz mieć przecież inną propozycję. Chodzi tylko o zasadę, że nasze nazwiska nie pojawią się na okładce. Tyle. Ale może nie zaczynamy od spierania się o takie sprawy. Aha! Jeszcze jedno. Na obecnym etapie proszę, abyś nie robił żadnych notatek ani nic nie nagrywał. Tylko pamięć, tylko ona wchodzi w rachubę – dodał, kierując palec wskazujący w moje czoło. – Zgoda?

– Zgoda. Zaczynamy już teraz?

– Czemu nie. Może najpierw zarysuję ci ogólnie i krótko przebieg zdarzeń. Wiem, że jesteś zmęczony po długiej podróży, ale pewnie też ciekawość nie dałaby ci zasnąć, prawda?

Uśmiechnąłem się, potakując z przekonaniem głową.

– Ale zaparz jeszcze tej wyśmienitej herbaty, żeby nie przysnął – zażartowałem.

Jimmy klasnął dłońmi o uda i wstał energicznie.

– Jasne, już się robi. Widzę, że umiejętnie przejmujesz kontrolę nad sytuacją. Poczułeś się w swoim żywiole – dodał z udawanym przekąsem i, zabierając ze sobą pusty już czajnik, wyszedł do kuchni.

Zostałem sam. Popatrzyłem na moją pustą szklankę po winie i zobaczyłem w niej swoje wątpliwości i obawy. Czy nie wchodzę w coś, nad czym nie będę miał kontroli?

– Bierz to, co ci daje los. Zmierz się z tym, nie pękaj
– przekonywałem sam siebie. Ta odważniejsza część
mojej osobowości była wyraźnie poirytowana aseku-
ranctwem tej drugiej. – Jimmy! Mogę nalać sobie jesz-
cze wina!? – zawołałem do gospodarza.

– Jasne. Przyniosę drugą butelkę. Trzeba wzmoc-
nić ego.

– Jakby czytał w moich myślach – pomyślałem
z ironią. – Jest inteligentny, mocny, może nawet nie-
bezpieczny, ale chyba gdzieś w głębi wrażliwy. Ale
właśnie taki powinien być mój autor i bohater: James
Christopher Hidden.